

Aaron Corbet przyspieszył do 110 km/h. Kierował się na północ drogą 1-95. Puścił głośniej muzykę, a potem zerknął przez ramię, żeby zobaczyć, co porabia Kamael. Anioł związał się z bólu na siedzeniu pasażera.

– Co ci się stało? – zaniepokoił się Aaron. – Wyczułeś coś? O co chodzi?

Anioł pokręcił głową z niesmakiem. – To ten hałas – powiedział, wskazując sprzęt grający. – Na sam jego dźwięk łzy napływają mi do oczu.

Aaron uśmiechnął się.

– Aż tak ci się podoba?

– Nie – mruknął Kamael, potrząsając głową. – Sprawia mi ból.

– Ale to Dave Matthews Band! – Aaron wydawał się wstrząśnięty miazdzącą krytyką Kamaela.

– Nie obchodzi mnie, co to za zespół – warknął anioł. – Wiem tylko, że łzawią mi od tego oczy.

Poirytowany Aaron wyłączył muzykę i wyjął płytę z odtwarzacza, po czym chwycił z powrotem kierownicę.

– Tak lepiej?

Włączył radio i w samochodzie rozległy się dźwięki popularnej listy przebojów. Jeden z boysbandów – Aaron nigdy nie potrafił ich odróżnić – śpiewał właśnie o utraconej miłości. Zerknął znowu na Kamaela – anioł siedział w milczeniu z tym samym, bolesnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi tym razem? Przecież wyłączyłem tamtą płytę.

– Doceniam to. – Anielski wojownik wyglądał przez okno, śledząc mijany krajobraz.

– Ale obawiam się, że cała ta twoja pseudo-muzyka jest dla mnie nie do zniesienia. Godzi we wszystkie moje zmysły.

Gabriel podniósł się z tylnego siedzenia i wsadził swój kremowy pysk między fotele z przodu.

– *Ja lubię tę piosenkę o Smacznym Żaretku* – powiedział.

*Pewnie, że tak. Z chęcią słuchasz o wszystkim, co potencjalnie mogłoby wylądować w twoim przepastnym żołądku* – pomyślał

Aaron, zaciskając mocniej dłonie na kierownicy.

– *Jak to szło, Aaronie?* – labrador nie dawał za wygraną. – *Już zapomniałem.*

– Nie wiem, Gabriel. – Aaron poczuł, że zaczyna powoli tracić nerwy. – To nawet nie jest prawdziwa piosenka, tylko melodia z reklamy karmy dla psów.

– *Nieważne* – pies obruszył się. – *Bardzo ją lubię – i tę reklamę też. Są w niej dzieciaki i szczeniaki. Skaczą na skakankach i biegają, a szczeniaki zjadają Pyszne Żaretko...*

Gabriel zamilkł w pół zdania. Aaron wyłączył radio i w aucie zapadła całkowita cisza. *Cudownie* – pomyślał – *właśnie tego było mi trzeba.* Teraz, bez rozpraszającej muzyki, mógł nareszcie zastanowić się nad obłędem, w który zamieniło się jego życie.

Jakiś czas temu, w swoje osiemnaste urodziny, Aaron dowiedział się, że jest Nefilimem – owocem związku anioła i śmiertelnej kobiety. Aaron nie znał swoich biologicznych rodziców – całe dzieciństwo spędził w sierocińcach i domach dziecka. Dlatego gdy odkrył w sobie dość niezwykłe zdolności – na przykład umiejętność komunikowania się ze zwierzętami i ludźmi w obcych językach – uznał, że traci zmysły.

Co niechybnie mu groziło, jeżeli nie przestanie o tym wszystkim myśleć. Obrzucił wzrokiem potężnie zbudowanego mężczyznę – nie, anioła – siedzącego po swojej prawicy.

– A więc jaką muzykę lubisz? – spytał, by przerwać kłopotliwe milczenie.

Kamael był kiedyś dowódcą armii, a właściwie elitarnego oddziału Straży Anielskiej. Zadaniem jej członków czyli Potęg było eliminowanie wszystkiego, co mogło stanowić

obrazę dla majestatu Boga. Po porażce Lucyfera w Wielkiej Wojnie wielu jego towarzyszy uciekło na Ziemię. Wyrzuceni z Nieba, rozpoczęli życie wśród ludzi, biorąc sobie ich kobiety za żony i płodząc dzieci. Misją Strażników było pozbycie się wszystkich zbiegów oraz ich nieczystego potomstwa – Nefilimów.

– Pamiętaj, że rozmawiasz z tym, który na własnych uszach doświadczył symfonii Stworzenia – powiedział protekcyjnym tonem Kamael. – Nie mogą się z nią równać żadne dźwięki wydawane przez tak prymitywny gatunek jak wasz.

Aaron dowiedział się, że podczas wykonywania jednej ze swych misji, Kamael poznał pewną przepowiednię, opisującą istotę – półczłowieka, półanioła – która miała doprowadzić do ponownego zjednoczenia upadłych aniołów z ich niebieskim Ojcem. Nefilim – Wybrańiec miał udzielić aniołom rozgrzeszenia za ich występki i umożliwić powrót do Nieba. Po tylu stuleciach przemocy i zagłady Kamael uznał, że to wspaniały pomysł, lecz jego entuzjazmu nie podzielał drugi z dowódców, a właściwie jego zastępca – anioł o imieniu Werchiel.

– Więc nie podoba ci się nasza muzyka? – spytał Aaron, zdumiony odpowiedzią anioła, który jednym zdaniem przekreślił cały artystyczny dorobek ludzkości. – Nie lubisz muzyki klasycznej, jazzu, rocka ani country? Naprawdę każdy z tych gatunków przyprawia cię o ból głowy?

Anioł spojrział na chłopaka, a w jego oczach zapalił się groźny płomień.

– Nie miałem czasu zapoznać się ze wszystkimi formami ziemskiej muzyki – odparł. – Jak ci zapewne wiadomo, nie narzekam na brak zajęć.

Kamael zostawił Straż Anielską, którą dowodził, i podążył tropem przepowiedni. Przez tysiące lat wędrował po całym świecie, próbując ratować życie Nefilimom – mając nadzieję, że któryś z nich okaże się wreszcie tym, o którym wspominała przepowiednia. Z kolei Werchiel i jego gwardziści robili wszystko, żeby nie dopuścić do jej spełnienia, mordując każdego ziemskiego potomka aniołów, który stanął im na drodze.

– Ale przecież jesteś tu od zarania dziejów! – Aaron uśmiechnął się. – Nie chcę być wrzodem na tyłku, ale...

– Właśnie tym jesteś, chłopcze. – Kamael wyjrzał przez okno. – Jesteś Wybrańcem, ale także wrzodem na tyłku.

Tak się więc złożyło, że Aaron – prócz tego, że był Nefilimem, co już samo w sobie było tragiczne – okazał się również tym, o którym mówiła przepowiednia. Nie zdawał sobie z niczego sprawy – aż do momentu, w którym Werchiel ze swoją bandą postanowili go zgładzić. W wyniku ich działań śmierć poniósł psychiatra Aarona, jego przybrani rodzice oraz pewien upadły anioł imieniem Ezeziel, który pomógł mu odkryć w sobie anielską naturę i tym samym ocalił mu życie.

– Przepraszam – powiedział Aaron, wciskając hamulec, gdy tuż przed nim pojawił się czerwony, sportowy samochód, który po chwili zjechał jednak na prawy pas, pozwalając się wyprzedzić. – Ale wydaje mi się, że zgrywasz świętszego, niż jesteś, i zadzierasz nosa, bo jesteś aniołem, i tak dalej – gdy tymczasem nie masz nawet pojęcia, o czym mówisz.

– To, że nie należę już do Potęg, nie znaczy, że nie jestem jednym z nich – odparł Kamael. – Jestem jednym z pierwszych aniołów stworzonych przez Boga. I to daje mi prawo do własnej opinii i niezgadania się z twoją.

Cudowne właściwości, które Aaron odkrył w sobie za sprawą anioła Ezeziela, ocaliły życie nie tylko jemu, ale także jego psu – Gabrielowi. Kiedy labrador został potrącony przez samochód i odniósł śmiertelne obrażenia, Aaron po raz pierwszy użył swojej mocy i uleczył psa, zmieniając go przy tym w coś więcej niż tylko zwierzę.

– Nie możesz mieć opinii na temat muzyki, której nie słyszałeś. – Aaron nie dawał za wygraną. – To tak, jakbyś powiedział, że nie lubisz brokułów, nie jedząc ich nigdy wcześniej – wyrzucił z siebie, rozdrażniony dyletancką postawą anioła.

– *Ja bardzo lubię brokuły* – odezwał się zniecierpliwiony Gabriel. – *Chętnie bym teraz zjadł trochę brokułów. To całe gadanie o Smacznym Żaretku sprawiło, że porządnie zgłodniałem.*

Aaron rzucił okiem na zegarek na desce rozdzielczej.

Dochodziło południe. Byli w drodze od świtu i od śniadania minęło już parę ładnych godzin. *Może powinniśmy zjechać z autostrady i coś przekąsić* – pomyślał. Wtedy przypomniał sobie o Steviem i natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Kto wie, co działo się z jego młodszym bratem?

Kiedy Strażnicy zaatakowali ich dom, zabrali ze sobą siedmioletniego przyrodniego brata Aarona. Stevie cierpiał na autyzm, a jeśli wierzyć Kamaelowi, jego pobratymcy często wykorzystywali osoby upośledzone w charakterze służących, ze względu na ich wyjątkową wrażliwość. Aaron, Kamael i Gabriel wyjechali z miasta i ruszyli w nieznaną, aby ratować Stevena i powstrzymać Strażników przed wyrządzeniem krzywdy Steviemu oraz wszystkim, na których Aaronowi mogło jeszcze zależeć.

Nagle uwagę Aarona przykuł jakiś dźwięk. Obrócił się i zobaczył, że Gabrielowi kapie z pyska ślina.

– Gabriel! – zrugął psa, wpychając go z powrotem na tylne siedzenie. – Ślinisz się!

– *Mówiłem ci, że jestem głodny.* – Labrador rozłożył się na siedzeniu. – *Nie mogę przestać myśleć o tej reklamie Smacznego Żarełka.*

Aaron spojrzął na Kamaela, który ze stoickim spokojem wyglądał przez okno.

– Co ty na to? – spytał. – Ja sam trochę już zgłodniałem. Może zatrzymamy się gdzieś na obiad?

– Wszystko mi jedno. – Anioł wzruszył ramionami, nie spoglądając nawet na Aarona.

– Ja nie potrzebuję jedzenia.

Aaron zachichotał.

– Rzeczywiście. – Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. – Nigdy nie widziałem, żebyś coś jadł.

– *Ja uwielbiam jeść* – Gabriel odezwał się z tylnego siedzenia.

– Jak to możliwe? – Aaron zainteresował się jeszcze jednym aspektem życia istot nie z tej ziemi. – Każde stworzenie musi jeść, żeby przeżyć – a może to jeszcze jeden dziwaczny, nadnaturalny nonsens, którego nie jestem w stanie pojąć?

– Żywimy się energią wszechświata – wyjaśnił Kamael. – Wszystko, co żyje, emituje energię. W tym sensie bardziej przypominamy rośliny – chłoniemy tę energię i to utrzymuje nas przy życiu.

Aaron pomyślał przez chwilę.

– Czyli można powiedzieć, że odkąd siedzimy tu razem w aucie, ty cały czas się pożywasz?

Anioł skinął głową.

– Można tak powiedzieć.

– *A ja nic nie jem, chociaż bardzo bym chciał* – zirytował się Gabriel.

– Dobrze, już dobrze – uspokoił go Aaron i skierował samochód na najbliższy zjazd z autostrady. – Znajdziemy jakiś bar i przekąsimy coś na szybko. Ale zaraz potem jedziemy dalej. Nie chcę, żeby Stevie spędzał z tymi draniami więcej czasu, niż to jest konieczne.

To mówiąc, zjechał z głównej szosy i obrał mniej uczęszczaną drogę. Cały czas myślał o wszystkim, co za sobą zostawiał. Z każdym kilometrem autostrady, każdym zjazdem i każdą boczną drogą oddalał się od życia, do którego przywykł. Tęsknił nawet za szkołą, chociaż nigdy nie sądził, że będzie mu jej brakowało. Ale mimo wszystko, kończył ostatnią klasę i w sumie nie mógł się już doczekać, kiedy napisze testy końcowe i dostanie się na wybraną uczelnię. Niestety wiedział, że nic z tego nie będzie – tak przyziemne sprawy nie dotyczyły Nefilimów.

Aaron dostrzegł tablicę zapraszającą do pobliskiego baru szybkiej obsługi z małżami, hamburgerami i hotdogami. Na zewnątrz, w zacienionym miejscu stały rozstawione stoliki – w sam raz dla Gabriela.

Kiedy Aaron parkował samochód na poboczu drogi przed barem, przypomniał sobie o Vilmie. Zanim jego życie legło w gruzach, prawie uwierzył w to, że uda mu się umówić z najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Niestety, randka nie doszła do skutku i pewnie już nigdy nie dojdzie. Nagle Aaronowi przeszła ochota na lunch.

\*

Vilma Santiago siedziała sama w najdalszym kącie stołówki w liceum Kennetha Curtisa i cieszyła się z tej samotności.

Był piękny, wiosenny dzień i większość uczniów wyniosła jedzenie na zewnątrz, więc dziewczyna nie miała żadnego problemu ze znalezieniem pustego stolika.

Vilma przypomniała sobie sen – czy raczej koszmar – z ostatniej nocy, który drażnił ją i nie dawał spokoju. Od kilku dni nie sypiała najlepiej i w końcu zaczęło się to odbijać na jej samopoczuciu. Dziewczyna była bardzo zmęczona i rozdrażniona; w dodatku bolała ją głowa – czuła pulsujący ból tuż za oczami.

Ale przede wszystkim, było jej przykro.

Vilma otworzyła papierową torbę z jedzeniem, wyjmując z niej jogurt oraz zawiniętą w folię kanapkę. Była dzisiaj w takim stanie, że nie pamiętała nawet, z czym zrobiła sobie drugie śniadanie. Miała nadzieję, że przynajmniej kanapki, które spakowała do tornistrów swojej kuzynce i kuzynowi, nadawały się do jedzenia, w przeciwnym razie oberwie jej się od ciotki po powrocie ze szkoły.

Nie zadając sobie nawet trudu, żeby zajrzeć do środka, Vilma schowała kanapkę z powrotem do plecaka. *Jogurt w zupełności mi wystarczy* – pomyślała, odrywając plastikowe wieczko. Wtedy zorientowała się, że nie zabrała z domu łyżeczki.

Nie stanowiło to najmniejszego problemu – w stołówce nie brakowało plastikowych sztućców – a jednak intensywne, irracjonalne uczucie rozczarowania o mało nie doprowadziło Vilmy do płaczu.

Stała się taka emocjonalna, odkąd Aaron Corbet opuścił szkołę – i z tego, co wiedziała – także granice stanu. Od tego czasu minęło już sporo czasu i Vilma zachodziła w głowę, dlaczego tak bardzo jej go brakuje. Przecież ledwie zdążyli się poznać.

Zamknęła wieczko z powrotem i odłożyła jogurt. Nie miała ochoty na jedzenie.

W Aaronie było coś, czego nie potrafiła do końca zrozumieć, ale gdy tylko pojawiał się w pobliżu, ogarniało ją uczucie wewnętrznego komfortu i spokoju. I chociaż nigdy nie byli na prawdziwej randce – ani nawet nie trzymali się za ręce – Vilma czuła się, jak gdyby wraz z jego odejściem zniknęła także część jej samej. Czuła się niekompletna. Chciała wierzyć, że to tylko przelotna miłostka, nastoletnie zauroczenie, które w końcu zgaśnie, ale coś w środku mówiło jej, że tak się jednak nie stanie. I to przygnębiało ją jeszcze bardziej.

Vilma oparła się na krześle i rozejrzała po stołówce, beznamiętnie bawiąc się małym aniołkiem, zawieszonym na złotym łańcuszku na szyi.

Zgodnie z oficjalną wersją wydarzeń, podaną do publicznej wiadomości przez media, rodzice i brat Aarona zginęli podczas pożaru, który wybuchł w ich domu na skutek uderzenia pioruna podczas gwałtownej burzy. Aaron powiedział jej, że wyjeżdża, bo z tym miejscem wiąże się zbyt wiele przykrych dla niego wspomnień. Ale Vilma miała poczucie, że coś przed nią ukrywa – chociaż nie wiedziała, co ani skąd się owe niepokojące myśli brały. Nie po raz pierwszy poczuła, jak szklą jej się oczy.

W szkole pojawiały się sporadycznie plotki, krzywdzące szeptami po kątach, jakoby to Aaron był odpowiedzialny za wybuch pożaru, który kosztował życie jego najbliższych. Vilma nie dawała im jednak wiary ani przez chwilę. Aaron był sierotą i często zmieniał domy, miał

więc prawo tłumić w sobie gniew, ale w głębi duszy Vilma wiedziała, że nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić.

A mimo to, rosły w niej wątpliwości, spowodowane jego nagłym wyjazdem.

Vilma podskoczyła na dźwięk głosu, który rozległ się tuż obok. Była tak zamyślona, że nie zauważyła, jak podeszła do niej jedna z kobiet pracujących w stołówce.

– Wybacz, kochanie – powiedziała potężna kobieta i uśmiechnęła się. Była ubrana w jasnoniebieski uniform, a farbowane blond włosy miała spięte pod siatką. – Nie chciałam cię wystraszyć.

– Nic się nie stało. – Vilma roześmiała się z zakłopotaniem. – Po prostu nie zwróciłam na panią uwagi.

– Skończyłaś drugie śniadanie? – Kobieta wskazała na otwarte pudełko z jogurtem.

– Tak, dziękuję – odparła Vilma. Sprzątaczką zdjęła papierowy obrus i wrzuciła go razem z jogurtem do worka na śmieci.

Vilma siedziała dalej, w zamyśleniu gładząc łańcuszek z aniołkiem zawieszony na szyi. Może dlatego nie mogła ostatnio spać. Od kiedy Aaron wyjechał, zaczęły ją nawiedzać mroczne koszmary. Budziła się nad ranem, przerażona i złana potem, drżąc na samą myśl o tym, co jej się śniło.

Tak, to musiał być właściwy trop. Nie dość, że Aaron zasmucił ją swoim odjazdem, to teraz jeszcze sprawiał, że śniły jej się koszmary. Tak bardzo chciałaby, żeby był teraz przy niej, by mogła podzielić się z nim swoimi troskami. A potem przytuliłaby go mocno i pocałowała.

Vilma wyobraziła sobie tę scenę i do oczu napłynęły jej łzy.

– Vilma! – usłyszała odbijający się echem w całej stołówce głos.

Szybko otarła łzy i rozejrzała się. Na drugim końcu sali zobaczyła swoją przyjaciółkę Tinę, która szła w jej stronę. Miała na sobie ciemne okulary słoneczne i poruszała się jak modelka na paryskim wybiegu. Vilma uśmiechnęła się i pomachała jej na przywitanie.

– Co ty tutaj robisz? – Tina spytała po portugalsku.

Vilma wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem – odpowiedziała ze smutkiem w głosie. – Jakoś nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

Tina przesunęła okulary na głowę i skrzyżowała ręce.

– Założę się, że nic nie zjadłaś – powiedziała z troską wypisaną na ładnej buzi.

Vilma chciała skłamać, ale nie potrafiła.

– Nie. – Jej palce odnalazły znów złotego aniołka. – Nie byłam głodna.

Tina przyglądała jej się w milczeniu i Vilma zaczęła odzyskiwać pewność siebie. Zastanawiała się, czy było widać, że płakała.

– No co? – spytała z wymuszonym uśmiechem, tym razem po angielsku. – Co się tak na mnie gapisz?

Tina nachyliła się, chwyciła ją pod rękę i odciągnęła od stolika.

– Chodź – rozkazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Idziemy razem z Beatrice do Pete'a na kawałek pizzy.

Vilma chciała się uwolnić z uścisku, ale Tina szybko ją przytrzymała.

– Posłuchaj, Tina – zaczęła – naprawdę, nie mam ochoty...

Wtedy zauważyła na twarzy swojej przyjaciółki autentyczne współczucie.

– Chodź, Vilmo. – Tina puściła jej ramię. – Nie rozmawiałyśmy od kilku dni. Dobrze ci to zrobi. Na dworze jest cudowna pogoda, a Beatrice obiecała, że nie będzie gadać o tym, jak bardzo ostatnio przytyła.

Vilma zachichotała i pomyślała, że może faktycznie dobrze jest się pośmiać w czyimś towarzystwie.

– Chodźmy – Tina podała jej dłoń.

Vilma wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Z ciężkim westchnieniem wzięła ją za rękę i wyszły razem na zewnątrz, gdzie czekała już na nie Beatrice. Fajnie było się spotkać z koleżankami. To pomoże jej przestać myśleć o tych wszystkich przykrych sprawach.

Dziewczyny poszły w dół ulicy, gdzie mieściła się pizzeria u Pete'a. Tina zdradziła koleżankom, że matka zagroziła wyrzuceniem jej z domu, jeśli zrobi sobie kolczyk w pępku, a Beatrice – jak można się było spodziewać – użała się na niezdolne fałdy na brzuchu.

Za to Vilma przez całą drogę była zatopiona w myślach. Rozmyślała o tym, że wiosna w końcu zdecydowała się pokazać w pełnej krasie i zastanawiała się, czy słońce świeciło równie jasno tam, gdzie był teraz Aaron – a jeśli nie, to właśnie takiej pogody mu życzyła.

\*

Wewnątrz jaskini Mufgar z klanu Orisha przykucnął na kościstych nogach i wyjął z małego, skórzanego woreczka, zawieszanego u pasa, cztery kawałki pumeksu. Drobnym mężczyzną o szorstkiej skórze w kolorze przykurzonej miedzi ułożył z kamyków niewielki stosik i z pomocą trzech swoich braci rozniecił pod nim ogień.

Wulkaniczne kamienie zaczęły się tlić, by po chwili rozbłysnąć wściekłą czerwienią. Cztery obserwujące tę scenę postacie wymamrotały słowa zaklęcia, używanego przez ich plemię od ponad tysiąca lat. Mufgar posypał kamienie garścią wysuszonej trawy, która od razu zajęła się ogniem, a Szokad dorzucił jeszcze kilka suchych gałązek, którymi nakarmił wygłodniały ogień. W tym czasie Zawar i Tehom zebrali całą broń i odłożyli ją pod ścianę jaskini, na wypadek gdyby znów była potrzebna.

Ogień buzował wesoło. Mufgar poprawił na swojej wielkiej i niekształtnej głowie pióropusz wykonany z czaszki bobra i skór dwóch rudych lisów. Siedzący przed trzaskającym ogniskiem wódz wznosił długie, chude ramiona w stronę sklepienia jaskini.

– Ja, Mufgar z klanu Orisha zwołałem tę radę, a wy przybyliście na moje wezwanie – warknął w gardłowym języku swojego plemienia. Po tych słowach nachylił się i splunął w ogień. Kleista ślina zaskwierczała w płomieniach. – Błogosławieni niech będą Strażnicy, którzy pozwalają nam cieszyć się życiem, chociaż nie zasługujemy na ten wielki dar.

Trzech pozostałych mężczyzn, jeden po drugim, splunęło w ognisko.

– Chwała niech będzie litościwym Potęgom – powiedzieli zgodnym chórem.

– Jesteśmy teraz jednością. – Mufgar opuścił ramiona. – Posiedzenie rady uważam za otwarte.

Mufgar potoczył wzrokiem po współplemieńcach, którzy zgromadzili się na jego wezwanie, zasmucony tym, jak bardzo w ciągu kilku stuleci skurczyły się ich szeregi. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy ta jaskinia nie była w stanie pomieścić wszystkich jego ludzi. Pozostało po nich tylko odległe wspomnienie.

– Zorganizowałem to spotkanie, ponieważ nasi miłośnicy władcy wyznaczyli nam pewne ryzykowne i niebezpieczne zadanie – Mufgar zwrócił się do obecnych. – Jeżeli uda nam się je wykonać, czeka nas hojna nagroda. – Rozejrzał się po twarzach członków swojego plemienia i zobaczył w nich strach – ten sam, który wypełniał także jego serce.

Szaman Szokad potrząsnął głową. Jego długie, zaplecione w warkoczyki włosy, zdobiły czaszki małych stworzeń leśnych, które zagrzecotały jak dzwonki na wietrze. Wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem.

– Czy coś cię trapi, Szokadzie? – spytał Mufgar.

Stary Orisha wytarł usta kościstą dłonią i wbił wzrok w trzaskający ogień.

– Nawiedzają mnie ostatnio niepokojące sny – powiedział, a małe czarne skrzydła na jego plecach obudziły się do życia. – W tych snach odwiedzam piękne miejsce, w którym wszyscy żyjemy jako wolne anioły i nie grozi nam żaden ucisk ze strony Potęg – wyszeptał szaman, z bojaźnią wypowiadając imię tych, którzy byli ich panami.

Mufgar skinął przystrojoną pióropuszem głową.

– Twoje sny pokazują przyszłość, o której do tej pory mogliśmy tylko pomarzyć – zauważył, bawiąc się jednym z warkoczyków zwisających mu z czoła. – Jeżeli jednak wykonamy powierzona nam misję, nasi panowie obiecali nam upragnioną wolność. Wolność, na którą sami sobie zapracujemy.

– Ale... ale by to osiągnąć, musimy zapolować na Nefilima – wymamrotał Tehom. – Schwytać go i przyprowadzić przed oblicze Werchiela. – Dzielny łowca wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Tak wielki wypełniał go strach.

– Jeśli chcemy zrzucić z siebie jarzmo Strażników, musimy wykonać to zadanie – powiedział Mufgar. – Dopiero wtedy będziemy mogli poszukać sobie Schronienia.

Na dźwięk tego najświętszego ze słów plemienia Orisha, każdy z czterech aniołów jak na komendę dotknął czoła, czubka nosa, ust i klatki piersiowej na wysokości serca.

Zawar podniósł się i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę, machając przy tym gorączkowo skrzydłami.

– To zadanie jest niewykonalne – uznał, wrywając sobie z głowy długi, kręcony siwy włos. – Nefilim zniszczy nas bez najmniejszego trudu – wystarczy spojrzeć, jak okaleczył w walce wielkiego Werchiela. Widzieliście blizny na jego ciele – wszyscy je widzieliśmy.

Mufgar przypomniał sobie oparzenia na skórze Werchiela. Blizny wyglądały strasznie – rany musiały zostać zadane przez kogoś o wielkiej sile i determinacji. Jeśli dał się tak zranić przywódca Straży Anielskiej, to jakie szanse w starciu z Nefilimem mieli oni?

– Zostaliśmy wyznaczeni do tego zadania – oznajmił tonem właściwym wodzowi. – Nie mamy wyboru...

– Nie – przerwał mu Szokad, kręcąc powoli głową. – To nieprawda. W snach widzę świat, w którym nasi ciemżyciele zostali zniszczeni przez Nefilima.

Mufgar poczuł, że ogarnia go coraz większy strach. Szokad rzadko mylił się w swoich snach – ale to, co mówił, było wbrew całemu ustalonemu porządkowi, w zgodzie z którym żyli Orisha. Od samego początku, od dnia, w którym zostali stworzeni, służyli Potęgom.

– Błóżniesz! – syknął, wskazując szamana długim, sękatym palcem. – Nie zdziwiłbym się, gdyby sam Lord Werchiel pojawił się tu, w tej jaskini i spalił cię na popiół.

Tehom i Zawar zadrżeli i przysunęli się bliżej do siebie. Wielkimi, rozszerzonymi ze strachu oczami wpatrywali się w mrok, szukając w nim oznak rychłego nadejścia okrutnego anioła.

Szokad dorzucił do ognia kolejną garść suchych gałązek.

– Mówię tylko o tym, co widziałem we śnie. – Zatoczył ręką krąg w powietrzu. – Sny podpowiadają mi, że nadchodzi nowa era. Musimy tylko wypatrywać znaków.